



A. NOVEMBER

**NIE
WI
DZIAŁ
NA**

Copyright© Tekst by A. November
Copyright© Wydawca A. November
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE, ŚREM 2025

Redakcja: Agnieszka Dudek
Korekta językowa: Agnieszka Dudek
Projekt okładki: Agnieszka Dudek
Zdjęcie: Stock Pictures
Łamanie, skład i konwersja plików:
Małgorzata Wiśniewska (@fabryka.skladu.ksiazki)

Wydanie 2

ISBN: 978-83-964989-4-6

A. NOVEMBER

NIE

WI

DZIAL

NA

Człowiek rodzi się, kocha i umiera nie na próbę
Jan Paweł II

*Dla mojego męża Sebastiana Konrada Jana
Ja Ciebie też, bardzo.*

PROLOG

Czy wierzę w to, że anioły istnieją? Na Miłość Boską, przecież jestem żołnierzem! Kiedyś bym się śmiał z takiego pytania, ponieważ byłoby niedorzeczne, ale dziś już nie.

One są, uwierz mi. I opowiem ci moją historię, bo chcę cię ostrzec. Jeśli kiedykolwiek znajdziesz jakiegoś, nigdy nikomu nie pozwól go od siebie zabrać.

Znalazłem jednego z nich, którego Bóg już raz postawił na mojej drodze. Anioł o najpiękniejszych niebieskich oczach, jakie w życiu widziałem, był uwięziony i zagubiony. Miał trafić prosto do piekła, a ja wyrwałem go ze szponów posłańca diabła i zabrałem ze sobą, by chronić. Tym aniołem była nikomu nieznana, krucha i naznaczona bliznami dziewczyna. Spojrzałem w jej niesamowite oczy i zobaczyłem siłę, która mnie zdumiała. Była moja i pokochałem ją, a potem... on upomniał się o nią i zabrał ode mnie. Sprawił, że stała się dla mnie niewidzialna. Czy to był diabeł? Z pewnością wtedy tak myślałem. Niestety, nawet nie wyobrażałem sobie, w jak wielkim byłem błędzie, ponieważ z prawdziwym wcieleniem szatana miałem się dopiero zmierzyć.

Mogłem to przewidzieć. Mogłem temu zapobiec. Ale pokonała mnie moja własna ambicja.

Wielki pożar, który płonął za moimi plecami, trawiąc gniazdo zła i zepsucia, był niczym w porównaniu z ogniem, jaki pożerał w tej

właśnie chwili, moją duszę i serce. Spalałem się od środka, a rwący płomień podgrzewał krew w moich żyłach i przesłaniał mi wszystko w zasięgu wzroku. Krzyk budujący się w mojej piersi był nie do okiełznania. Narastał z każdym moim pieprzonym oddechem i rozrywał mi pierś. Łapałem powietrze dużymi haustami i nie byłem w stanie go z siebie wydobyć. Upadłem na kolana pośród chaosu, jakiego dokonałem i uspokajałem szalejące serce po to, by spróbować uwolnić ze swoich płuc, tą wszechogarniającą mnie bezradność. Kiedy udało mi się w końcu zaczerpnąć tyle powietrza, ile potrzebowałem, wydawało mi się, że nawet płomienie przygasły, ponieważ zabrałem im potrzebny tlen. Krzyk, jaki wydobył się z mojego gardła, tnąc je jak sztylet, rozniósł się ponad koronami drzew i na chwilę zapadła dookoła cisza. Nabrałem w garści szarą od popiołu ziemię i zaciśnąłem tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w dłoń, aż do krwi. Opuściłem głowę między ramiona, a pot zmieszany z krwią ściekał stróżką z mojego czoła, zbierając się w kroplę na czubku nosa.

Krew. To była jego krew.

Odebrał mi sens mojego życia, o którego istnieniu jeszcze kilka tygodni temu nawet nie wiedziałem. Dlaczego za każdą minutę szczęścia skradzioną losowi musimy oddać mu dziesięć zakrapianych łzami przez rozdzierającą serce rozpacz?

Miałem wciąż przed oczami sylwetkę oświetloną promieniami słońca, kiedy spacerowała brzegiem jeziora. Nic więcej nie mogłem dostrzec, choć oczy miałem otwarte, to nie widziałem świata. Patrzyłem przed siebie i widziałem tylko ją. A teraz, kiedy była dla mnie niewidzialna, brakowało mi powietrza i zaczynałem umierać. I nie chciałem już dłużej żyć. Jednak pomimo bólu i dzielącej nas teraz przepaści, byłem przy niej.

– Gdzie jesteś, Blue? – szepnąłem i po raz drugi w swoim życiu pozwoliłem łzom swobodnie popłynąć z moich oczu.

Tak jak wtedy, kiedy miałem dziesięć lat.

ROZDZIAŁ 1

W życiu nie chodzi o to, by siebie odnaleźć. W życiu chodzi o to, aby siebie samego stworzyć

George Bernard Shaw

Kellan

Pamiętam, jak moja mama lubiła głaskać mnie po włosach. Kładłem wtedy głowę na jej kolanach i zamykałem oczy, a ona całowała mnie za każdym razem w policzek. Przeczesawała palcami moje pasma i zdarzało się, że podczas opowiadania bajek, robiła mi bezwiednie małego kołtuna na głowie. Lubiłem wszystkie bajki bez wyjątku i mogłem ich słuchać bez końca, byle tylko słyszeć jej miękkiego, kojącego głosu.

Mieszkaliśmy w kilkunastotysięcznym Alamo w Teksasie. A konkretnie w jego malowniczej i historycznej części z pozostałościami po wojnie z Meksykiem, tuż przy starych zabudowaniach Fortu Alamo. Było to moje ulubione miejsce, zaraz po ukochanym krzaku magnolii rosnącym parę metrów od mojego domu. Kiedy kwitł, siedziałem pod nim godzinami, wdychając zapach kwiatów, i czytałem mój ukochany komiks lub inne książki, które udało mi się zdobyć. Tam odpoczywałem od świata. I od potwora w moim... właściwie w jego domu.

Mój tata, Richard Masters, zginął w wypadku samochodowym,

gdy miałem niespełna rok. Moja mama, Juliett, nie mogła się z tym długo pogodzić. Przez kilka lat byliśmy sami, choć zapewne musiała mieć adoratorów, ponieważ była piękną kobietą. Miała błękitne oczy, które po niej odziedziczyłem, i czarne, długie włosy sięgające pasa. Uwielbiałem ją. Była dla mnie wszystkim. Jednak kiedy miałem sześć lat, zaczęła spotykać się z właścicielem zakładu szewskiego, Alexem Wildersem, i niedługo potem wyszła za niego za mąż.

To był jej największy błąd, który zmienił nasze życie na zawsze.

Zaraz po ślubie wprowadziliśmy się do jego domu i dosłownie po kilku tygodniach, zacząłem zauważać, że mama płacze, snując się po kątach niczym cień. Jakiś czas później słyszałem coraz częściej podniesione głosy, a następnie zaczęło dochodzić do rękoczynów. Zobaczyłem u mamy siniaki na rękach i twarzy, które skrzętnie starała się ukryć pod makijażem. Byłem coraz starszy i coraz bardziej chciałem wpierdolić Alexowi. Ale nie byłem na tyle silny, aby dać sobie z nim radę. Był postawnym brunetem pod czterdziestkę i dbał o swoje mięśnie, chodząc na siłownię oraz bijąc mamę. Byłem jak na swój wiek wysokim chłopcem i wyróżniałem się spośród rówieśników, ale brakowało mi siły. W szkole radziłem sobie bardzo dobrze i byłem lubiany wśród dzieci. Miałem nawet kilkoro przyjaciół, ale nie potrafili mi pomóc, bo nigdy nie wyznałem im, co Alex robił mojej mamie. Myślałem wtedy jak zastraszone dziecko, że gdy prawda wyjdzie na jaw, ludzie się od nas odwrócą, obwiniając ją za wszystko, co robił jej mąż. Dlatego musiałem mierzyć się z tym sam. Miałem nadzieję na zdobycie większej masy ciała i bycie bardziej wysportowanym chłopakiem, a że byłem zafascynowany futbolem amerykańskim, któregoś dnia poprosiłem mamę, żeby zapisała mnie na treningi.

Sytuacja w domu stawała się nie do zniesienia. Mama nadskakiwała Alexowi, mając nadzieję, iż nie będzie wszczynał awantur o byle gówna. A robił je naprawdę o takie bzdury, że z perspektywy czasu, wracając wspomnieniami do tamtych dni, zachodzę w głowę,

do czego jego chory umysł był zdolny. A muszę przyznać, że często wracam myślami do tamtych czasów – mama zawsze się do mnie uśmiechała, nawet gdy była przygnębiona. Kochała mnie i wspierała.

Do dnia, w którym to wszystko się skończyło.

Był to ostatni dzień szkoły. Wracaliśmy z chłopakami do domu, śmiejąc się jak zwykle z jakichś pierdół i ciesząc z nadchodzących wakacji. Jednak ja chciałem jak najszybciej znaleźć się w domu, ponieważ czułem wewnętrzny niepokój.

Mój dom znajdował się na końcu osiedla, więc droga dłużyla mi się i robiłem się coraz bardziej niespokojny. Chłopcy już się rozeszli, każdy w swoją stronę, i ostatnie kilkaset metrów pokonałem, biegnąc co sił w nogach. Kiedy skręciłem w moją ulicę, wypatrywałem drzwi wejściowych do naszego domu, a gdy zobaczyłem, że są lekko uchylone, moje serce zerwało się i gwałtownie przyspieszyło. Wbiegłem na werandę i wparowałem do holu, zatrzymując za sobą drzwi. Rzuciłem plecak na podłogę i wszedłem do salonu. Pierwsze co rzuciło mi się w oczy, to przewrócona palma i ziemia z doniczki rozsypana na jasnym, puszystym dywanie.

Przystanąłem na chwilę i zaczęła mnie ogarniać panika. Poczulem uścisk w brzuchu i moje nogi same ruszyły w stronę kuchni. Jednak kiedy zbliżałem się do niej, usłyszałem, jak coś na piętrze miarowo uderza. Spojrzałem w sufit, nad słuchując, skąd dochodzą dźwięki, po czym ruszyłem sprintem przez kuchnię i kierując się z powrotem do holu, wbiegałem po schodach na piętro.

Odgłosy dobiegały z gościnnej łazienki i w miarę jak zbliżałem się do niej, słyszałem również pojękiwanie Alexa i płacz mojej mamy. Stałem przy uchylonych drzwiach i usłyszałem jej urywane, ciche błaganie:

– Alex, proszę cię... och... przestań... nie mogę... oddychać... robisz mi... krzywdę... – Mama zanosila się od płaczu i dusila, ledwo wypowiadając te słowa.

– Milcz, suko! Nauczę cię szacunku do mnie! – wulgarne słowa Alexa przecięły mnie jak sztylet.

– Alex, zabijesz m-mnie... błagam! – charcząc, coraz ciszej wypowiadała zniekształcone słowa.

– Tylko ten twój bękart po tobie zapłacze, nikt więcej. Ty żałosna namiastko kobiety. – warknął przez zęby.

Nie mogłem tego słuchać i serce trzaskało w mojej pierś. Pchnąłem powoli drzwi i moim oczom ukazał się widok, który przeraził mnie na śmierć. Moja mama leżała przechylona na brzegu wanny, zapierając się rękoma o przeciwległy jej rant, a Alex gwałcił ją od tyłu, trzymając w jednej dłoni swój pasek od spodni, który był zarzucony na jej szyję. Czym mocniej się w nią wbijał, tym bardziej ciągnął do siebie pasek, dusząc ją. Zobaczyła mnie kątem oka i pokręciła głową, żebym nie podchodził. Jej twarz była purpurowa z braku powietrza, a łzy rozmazały makijaż. Nie mogłem tak stać, musiałem ją obronić. Rzuciłem się na Alexa, spychając go z niej. Przewracając się, uderzył głową o umywalkę i zaćmiło go na chwilę. Jednak zanim zająłem się mamą, drań ruszył w moją stronę, zamachnął się i uderzył mnie pięścią w twarz tak mocno, że upadałem i straciłem przytomność.

Ocknąłem się, leżąc w łazience z policzkiem przyciśniętym do kafelków podłogi. Kiedy otworzyłem szerzej oczy, zobaczyłem brunatną ciecz, która płynęła w stronę mojej twarzy. Nie zdawałem sobie przez chwilę sprawy z tego, co widzę, i postanowiłem się podnieść. Podparłem się na dłoniach, jednak te zaczęły ślizgać się i rozjechałem się, upadając twarzą prosto w płynącą ciecz. Wtedy dotarło do mnie, że to krew, i poczułem jej metaliczny smak w ustach.

W momencie podskoczyłem do góry na nogi i spojrzałem za siebie. To, co zobaczyłem, wyrzyło się w mojej pamięci i zostało w niej na zawsze, ponieważ nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego, nawet w filmach. Moja mama leżała przy wannie z mokrymi i przyklejonymi do twarzy włosami umazanymi krwią. Pomimo ich kruczoczarного koloru, brunatna, powoli krzepnąca krew przyciągała mój wzrok. Podeszedłem bliżej i wstrzymałem oddech na widok

ogromnej dziury z tyłu jej głowy, z której wystawały kawałki kości oraz różowa miazga, którą był kiedyś mózg. Resztki z rozłupanej czaszki były wszędzie dookoła, a bluzka na plecach była przesiąknięta krwią. Upadłem przed nią na kolana, a martwe, mętniejące już oczy wpatrywały się we mnie. Tuż obok głowy leżał młotek szewski, a na szyi wciąż zaciśnięty był pasek mordercy.

Nie mogłem złapać powietrza, a ból rozdzierał mi klatkę piersiową i nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Mogłem jedynie w swojej głowie krzyczeć do niej, aby mnie nie zostawiała. Kiwałem się nad nią i głaskałem zakrwawione włosy tak, jak ona zawsze głaskała moje, odgarniając z jej twarzy przyklejone krwawe pasma. W swojej głowie opowiadałem mamie bajkę i prosiłem, żeby coś powiedziała, jednak ona nie poruszyła się, zapatrzona w jeden punkt, nie zamknęła swoich oczu. Wiedziałem, że nie żyje, ale jeszcze nie mogłem jej zostawić.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim dotknąłem palcami powiek i zamknąłem jej oczy. Już nie płakałem i udało mi się zdusić ogień w piersi. Nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło. Byłem odrętwiały. Wstałem i wyszedłem z łazienki, zamykając za sobą drzwi. Skierowałem się do swojego pokoju, jak zaprogramowany robot, i podszedłem do komody, gdzie stało w ramce nasze zdjęcie, które zrobiliśmy sobie rok wcześniej podczas wyprawy we dwoje do Wielkiego Kanionu. Uderzyłem ramką o kant mebla i wyjąłem z niej zdjęcie. Złożyłem je na pół i schowałem w tylnej kieszeni dżinsów. Odwróciłem się i wyszedłem z pokoju, udając się w stronę schodów, zatrzymałem się jeszcze na chwilę przy drzwiach łazienki, za którymi leżała. Wciągnąłem powietrze w płuca i zacząłem schodzić na dół.

W domu było ciemno, ponieważ na dworze zapadła już noc. Wszedłem do salonu, gdzie nadal leżała przewrócona palma, a włączony telewizor dawał niebieską poświatę na cały salon. Stałem jak wryty, ponieważ morderca mojej mamy siedział w fotelu odwróconym tyłem do mnie z piwem w ręce i oglądał porno, wydając z siebie odgłosy,

które już dzisiaj słyszałem. To uruchomiło mnie w momencie, jakby ktoś przełączył coś w mojej głowie. Po cichu się odwróciłem i poszedłem do kuchni, zatrzymałem się przy wyspie, na której w stojaku stały różnej wielkości noże. Wyjąłem najmniejszy z nich i ruszyłem z powrotem do salonu. Stałem kilka metrów za fotelem, na którym siedział masturbujący się morderca, i krok po kroku zbliżałem się do niego. Kiedy dotarłem do fotela, uniosłem rękę trzymającą w dłoni zaciśnięty mocno nóż i jednym szybkim ruchem zadałem mu cios w bok szyi. Nawet nie sądziłem, że trafiłem w tętnicę za pierwszym razem. Ale tak się właśnie stało, ponieważ krew natychmiast trysnęła, a mężczyzna, przyciskając dłoń do szyi, zerwał się gwałtownie z fotela. Odwrócił się do mnie, trzymając w drugiej dłoni butelkę z niedopitym piwem i wciąż półtwardym fiutem, wystającym ze spodni. Wytrzeszczył na mnie oczy i próbował coś powiedzieć, jednak jego ust nie opuścił żaden dźwięk. Patrzyliśmy sobie w oczy przez dłuższą chwilę i nie mogłem nawet mrugnąć powiekami. Po chwili wzdrygnąłem się, bo dotarł do mnie odgłos tłuczonego szkła, który pochodził z wypuszczonej z jego dłoni butelki. Mężczyzna zachwiał się na nogach. Ruszyłem z miejsca, nie oglądając się za siebie, ponieważ wiedziałem, że to już jest jego koniec.

Wychodząc z domu do ogrodu, usłyszałem słaby jęk, a po nim tępy łoskot charakterystyczny dla ciała upadającego na podłogę. Poszedłem do komórki na tyłach ogrodu i przez chwilę szukałem tego, co było mi potrzebne.

Benzyna i zapalnik.

Znalazłem duży i pełny kanister z paliwem do kosiarki oraz pogrzebałem w szufladach, znajdując zapalniczkę.

Zataszczyłem wszystko z powrotem do salonu i poszedłem do mordercy, który leżał już martwy w kałuży krwi. Otworzyłem kanister i polałem go paliwem, resztę rozlałem po salonie oraz schodach. Odrzuciłem kanister i poszedłem do kuchni po ścierkę. Podpaliłem ją zapalniczką i poszedłem bliżej rozlanego paliwa. Rzuciłem palący się materiał najdalej jak mogłem i schyliłem się na moment, gdy

poczułem buchnięcie ognia i ciepły powiew na plecach. Wyszedłem przez drzwi tarasowe do ogrodu, przeszedłem kilkanaście metrów dalej i usiadłem pod drzewem magnolii.

Siedziałem i patrzyłem na płomienie ogarniające powoli cały dom. Trochę trwało, kiedy dotarły na piętro i zajęły dach, ale dopiero wtedy wydałem z siebie pierwszy dźwięk od momentu, kiedy oprzytomniałem w łazience, patrząc w martwe oczy mojej mamy.

– Żegnaj, mamusiu – szepnąłem w noc, wylewając ostatnie łzy.

Nigdy więcej w swoim życiu nie zapłakałem. Nigdy! Nawet w Afganistanie, gdzie widziałem rzeczy, o jakich się nikomu nie śniło.

Wracając do tamtej nocy, gdy ogień był już tak duży, że czułem jego gorąco na swojej twarzy, a płomienie zaczęły pochłaniać górne gałęzie, sąsiad znalazł mnie pod krzakiem. Poderwał mnie na ręce i uciekliśmy sekundy przed tym, jak płonący dach zapadł się, wzniecając kulę ognia, która pochłonęła krzew. Gdybym tam dalej siedział, pozostałby po mnie popiół.

Tak jak z mojej mamy i z mojego życia.

Godziny później niezliczone zastępy różnych ludzi, próbowały ze mnie wyciągnąć, co się właściwie stało, ale ja nie powiedziałem ani słowa. Nie chciałem z nikim o tym rozmawiać, ponieważ byłem wykończony fizycznie i psychicznie. Choć dalej oddychałem, to właściwie byłem pewny, że moje życie właśnie się skończyło.

Kiedy znaleziono szczątki mojej mamy i tego gnoja, zajęło chwilę, zanim ustalono przyczynę śmierci, ale wzięwszy pod uwagę podpalenie, które fachowcy wyczuli na odległość, wszczęto dochodzenie w sprawie domniemanego morderstwa. Ja milczałem jak grób, co biegli postrzegali jako PTSD.

Z braku dowodów i niekompetencji opieki społecznej, która wykąpała mnie i uprała moje ciuchy, nikt nie wziął pod uwagę możliwości mojego zaangażowania w sprawę. Uznano to za napad rabunkowy, w którym ofiarami padli moja mama i jej mąż, a nieznanego sprawcy w celu zatarcia śladów podpalili dom.

Sprawę zamknięto, a ja trafiłem w wir systemu opieki społecznej, oferującej dla dzieci takich jak ja aż nadmiar atrakcji w przeróżnych miejscach i pod różnymi postaciami.

Po zaliczeniu kilku rodzin zastępczych, z którymi nie miałem ochoty współpracować, wylądowałem, mając czternaście lat, w domu dziecka. Chociaż bardziej przypominał on poprawczak, gdzie zasad w ogóle nie było, a przemoc wobec umieszczonych tam dzieci przekraczała wszelkie granice. W tamtym czasie cieszyłem się, że urodziłem się chłopcem. Niezliczone ilości bójek, które odbyłem, zahartowały moje ciało. O futbolu mogłem wtedy zapomnieć, ponieważ nie byłem już prymusem, a państwo nie miało mi nic do zaoferowania. Jednak ćwiczyłem ciało i doprowadzałem moje umiejętności w różnych sztukach walki, do perfekcji. Postawiłem na krav magę. Wychodziłem z założenia, że jeśli chcę kogoś chronić, najpierw sam muszę umieć się ochronić.

Wydarzenia z tego okresu mojego życia prawdopodobnie odzwierciedliły się w tym, co robiłem już jako dorosły człowiek. Wywarły na mnie presję, aby bronić tych, którzy nie potrafili tego zrobić sami. Czyli niewinnych ludzi, którym odbierano wolność i tożsamość. Z głęboką wiarą w sercu, że to, co zamierzałem zrobić, jest słuszne, w wieku osiemnastu lat wstąpiłem do wojska. Rok później przystąpiłem do długiego specjalistycznego programu treningowego, aby zostać żołnierzem SEAL, i udało mi się ukończyć go przy pierwszym podejściu, z bardzo dobrymi wynikami. Szybko zdobywałem awanse i z czystym sumieniem mogę to przyznać, że osiągnięcie stopnia kapitana było zasłużone i byłem z tego powodu dumnym skurwysynem. Podczas szkolenia poznałem moich braci – Asha, Claya, Trace’a i Jareda. W wojsku wszyscy żołnierze są dla siebie braćmi, ale ta czwórka była bliska mojemu sercu, jak niegdyś była moja mama.

Stali się moją rodziną.

Dziś wiem, że więzy przyjaźni, które istniały między nami, były darem, który powinienem był pielęgnować i z samolubnych

powodów zaniedbałem go, powodując, że ból i rozpacz, które niszczyły moje serce, zniszczą też ich. Moim zadaniem było chronić wszystkich bez wyjątku, zamiast tego spowodowałem chaos i zniszczenie. Na Boga, co miałem zrobić, kiedy zawiodłem tych, którzy mi zaufali? Zawiodłem ich tak, jak moją mamę. Dokonane przeze mnie wybory i podjęte decyzje doprowadziły do wydarzeń i ludzi związanych z miejscem, które płonęło przed naszymi oczami.

To była moja walka i moja odpowiedzialność! Nie ich! Dlatego dziękuję Bogu za to, że żadnego z nich dzisiaj nie straciłem.

Przez ostatnie kilka minut klęczałem na ziemi, łapiąc oddech. Przypomniałem sobie wydarzenia ostatniej godziny i coraz bardziej szalałem.

Jak do tego doszło?

Kurwa. Jak?

Mieliśmy jasny i prosty do wykonania plan. Trzech rozstawionych snajperów, dobry sprzęt i sporo amunicji. Otaczali mnie żołnierze i zatawardziali wojownicy, których nie ma w swoim Secret Service nawet sam prezydent, a ja zaangażowałem ich w moją wojnę. Wjechaliśmy na teren posesji Russo w ustalonych wcześniej formacjach.

Russo, van den Rooy... wszystko jedno, który z nich był na czele tego gówna, byli odpowiedzialni za porwania, gwałty, śmierć niezliczonej liczby kobiet i dzieci. Razem z moimi chłopakami i agentem FBI Fletcherem mieliśmy wjechać od strony lasu, gdzie nasze auta poradzą sobie z mniej podmokłym terenem. Cooper ze swoją snajperską „dziecinką” ustawił się na skałach. Prezydent MC Dirty Jackals, Ice, wraz kilkoma swoimi ludźmi jechali w swoich hammerach tuż przed nami. Reszta ludzi z MC Black Wings miała dostać się na teren posesji od strony winnicy, natomiast pozostałe hammy Ice’a – od strony bagien. Zaczęliśmy akcję i byłem przekonany, iż jest tylko kwestia czasu, kiedy odzyskamy moją żonę.

Tyle tylko... że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Kiedy Cooper zadokował się na skałach i zameldował mi swoją

gotowość, Ash przesiadł się za kierownicę. Usiadłem na miejscu pasażera, sprawdzając po raz setny moją broń. Bronx i Trace zajęli pozycje na ostatnich siedzeniach i milczeli w skupieniu. Fletcher sprawdził łączność ze swoim człowiekiem, którego zostawiliśmy przed głównym wjazdem na posesję. Założyliśmy noktowizory i wyłączyliśmy światła. Przedzierając się przez las, obserwowałem wszystko wokół mnie. Słyszałem gałęzie ocierające się o błotniki i dach auta. Samochód podskakiwał na sterczących korzeniach, co skutkowało uciskiem w mojej klatce piersiowej. Potarłem miejsce po postrzale, aby pozbyć się dyskomfortu. Nikt nie zakłócał naszej przejażdżki przez las.

– Nie ma tu żywej duszy – skomentował Ash, bacznie obserwując otoczenie.

– To znaczy, że czuje się tu bezpiecznie – podsumowałem.

– Nie spodziewa się pościgu? – myślał głośno Bronx.

– Albo jest idiotą, albo mnie nie docenił – dodałem, ponownie sprawdzając broń.

Bronx zerknął na mnie i zapytał:

– Ile razy jeszcze sprawdzisz tego gnata?

– Tyle, ile trzeba. Jedź! – burknąłem.

– Jak odstrzelisz sobie łeb, to twoja sprawa. Ale jak odstrzelisz mi mój, to cię będę, kurwa, straszyć z zaświatów, aż się zesrasz!

– Boję się jak skurwysyn! – Cmoknąłem.

– I właśnie to jest w tym najgorsze, że ty się niczego nie boisz. – Ash westchnął i skupił się na drodze.

Nie miał racji. Bałem się, tylko głupiec się nie boi.

Po przejechaniu kilkuset metrów zaczynaliśmy dojeżdżać do pierwszych zabudowań, które kiedyś mogły być powozownią. Zauważyłem różnego rodzaju urządzenia, które wskazywały, że przerobiono ją na destylarnię. Za budynkiem rozpościerał się duży trawnik, na końcu którego wznosiły się mury zamku z ciemnego kamienia. Podjechaliśmy pod niego i szybko opuściliśmy pojazdy.

Każdy przybrał pozycję bojową i ruszyliśmy w trzech grupach wzdłuż kamiennej ściany. Bronx szedł pierwszy, a za nim ja i Trace. Ash prowadził drugą grupę, a Fletcher z dwoma prospektami od McCaina zamykał szereg. Nie wiedzieliśmy, na jakim poziomie było przeszkolenie ludzi Ice'a, ale już po pierwszych kilku jardach było dla nas jasne, że mieli pojęcie o zachowaniu taktycznym w terenie. To bardzo działało na naszą korzyść, ale mimo to byłem niespokojny. Trzymałem swój karabin blisko twarzy i każdy mój ruch był z nim zsynchronizowany. Miałem oczy wszędzie: na sklepieniu zamku, na trawie, na murze, ludziach za mną oraz przed sobą. Bronx w pewnym momencie dotarł do końca kamiennej ściany i wychylił się zza rogu. Nagle podniósł rękę i zacisnął w górze pięść, sygnalizując niebezpieczeństwo. Zamarliśmy. Patrzyłem, skupiony na jego dłoń, kiedy zmienił jej ułożenie. Przygotowałem się do ewentualnego oddania strzału. Bronx schylił się bardziej i rozluźnił ją, kręcąc palcem, by ruszać dalej. Wyszliśmy zza muru na rozległy, owalny dziedziniec otoczony niskim żywopłotem. Schowaliśmy się za nim i obserwowaliśmy trzech ludzi palących papierosy. Stali około pięćdziesiąt jardów przed nami, tuż przy ogromnych, kutych drzwiach głównego wejścia. Usłyszałem w słuchawce głos McCaina:

– Masters, dotarliśmy do czegoś, co prawdopodobnie jest oranżerią. Na drodze nie spotkaliśmy nikogo, ale ktoś nie dawno tędy biegł. Blisko ściany są jeszcze mokre ślady bosych stóp i przebiegają przez pasmo trawnika. Wygląda, jakby ktoś ruszył w stronę lasu.

Zastanowiłem się chwilę, ponieważ przemknęło mi coś przez myśl.

– Uciekinier? – zapytałem.

– Raczej nikt nie biega nocą boso po lesie.

– Rozumiem. – I przysłała mi myśli o uciekającej tamtędy Blue.

To mogło być w jej stylu. Ta dziewczyna jest nieprzewidywalna i uparta, ale jest też cholernie odważna i nie ma o tym bladego pojęcia.

– McCain, może to ktoś sprawdzić? – Chciałem sam tam iść.

– Jasne. Pójdzie tam mój porucznik, Hunter. Jest specem w tropieniu. Co u was?

– Właśnie dotarliśmy do dziedzińca, mamy widok na główne wejście i jarające przy nim trzy cele – odpowiedziałem mu. – Macie możliwość wejścia do oranżerii?

– Tak, widzę otwarte okno tuż nad ziemią. Dość wąskie, ale spróbuję temu zaradzić.

– Przyjąłem. Daj znać, jak coś znajdziesz. – Wiedziałem, że tam wejdzie, więc czekałem tylko na potwierdzenie.

Schyleni, szybko ruszyliśmy wzdłuż żywopłotu. Mężczyźni nadal palili papierosy, nieświadomi naszej obecności. Chcieliśmy podejść niezauważeni jak najbliżej wejścia. Zza przeciwnego rogu ściany zamku wyłoniła się nagle druga ekipa ludzi McCaina. W słuchawkach odezwał się dowodzący nią egzekutor MC Black Wings, Blade.

– Widzimy was i palaczy też – odezwał się pierwszy. – Jesteście bliżej wejścia, będziemy was osłaniać.

– Przyjąłem, Blade. Zdejmijcie ich, kiedy nas zauważą.

– Z przyjemnością, Masters. – Czulem, jak uśmiech pojawia się na jego twarzy.

Kolejny szalony sukinsyn.

W pewnej chwili jeden z palaczy odwrócił się w naszą stronę. Krzyknął coś, rzucając papierosa na ziemię, i skierował w nas swoją broń. Jednak na tym się skończyło, a jego kumple nawet nie załapali, o co chodziło, ponieważ cała trójka leżała już martwa na ziemi. Blade wykonał robotę precyzyjnie.

Przeskoczyliśmy żywopłot i podbiegliśmy do drzwi, gdy w międzyczasie bikerzy zabezpieczali teren, wpuszczając nas do środka. Wpadliśmy do dużego holu, rozświetlonego dwoma ogromnymi, starymi mosiężnymi żyrandolami. Podnieśliśmy okulary noktowizorów i parliśmy do przodu w stronę marmurowych krętych schodów z masywnymi poręczami. Po drodze minęliśmy rozchodzące się od głównego holu dwa przeciwległe korytarze. Jak zakładaliśmy wcześniej,

rozdzieliliśmy się. Bronx, ja i Fletcher oraz VP Jackals, Storm z Tracem, ruszyliśmy w górę po schodach, natomiast Ash został na dole z pozostałymi trzema ludźmi Jackals i wszedł w lewy korytarz. Ice zabrał pozostałych na prawo. Rozglądając się uważnie, weszliśmy po schodach nakrytych wzorzystym fioletowo-czarnym dywanem. Były tak wysokie, że mogłoby się wydawać, iż prowadzą do nieba.

Ale nie w tym miejscu.

Dotarliśmy na szczyt schodów i usłyszeliśmy odgłos strzałów dobiegających z dołu. W słuchawce usłyszałem krzyki chłopaków, informujących się nawzajem o pozycji ludzi Russo. Rozdzieliliśmy się z Tracem ponownie na górze. Szedłem za Bronxem jak cień, co dwa kroki odwracając się do tyłu. Widziałem wtedy po drugiej stronie korytarza robiącego to samo Tracę'a, kiedy Storm na ugiętych kolanach kierował broń na boki, mijając kolejne drzwi. Brat je otwierał i robił mu miejsce, żeby sprawdził wnętrze. Po naszej stronie schodów Bronx, oczywiście osłaniając mnie, musiał iść pierwszy. To już mieli we krwi i kiedykolwiek próbowałem wyjść na pozycję, oni od razu mnie kryli. Dzisiaj nie byłem ich dowódcą. Dzisiaj byłem ich bratem, ale to niczego w ich przekonaniach nie zmieniło. Fletcher został na szczycie schodów, obserwując w dole hol. Bronx sprawdzał wszystkie kąty i otwierał mi drzwi do mijanych pomieszczeń, a kiedy ja je penetrowałem, on pilnował naszych tyłków.

Wszędzie panowała cisza i było pusto.

Zero śladu Blue. Zero śladu Russo. Zero nikogo!

Sprawdzałem właśnie ostatni z pokoi, kiedy usłyszałem cofającego się do pokoju Bronx'a. Trzymał palec na ustach i kiwnął głową w stronę korytarza. Podskoczyłem natychmiast do niego i schowaliśmy się za drzwiami. Ktoś wolno skradał się do pokoju i przystanął w progu. W szparze pomiędzy drzwiami a futryną ujrzałem obcą twarz. Strzeliłem w momencie, kiedy ruszył się, by przejść. Kula przeszła na wylot i facet padł w przejściu, z dziurą z boku głowy.

– Gdzie, do cholery, byłeś, Fletcher, kiedy ten palant tu szedł?! – Bronx wychrypiał do swojego mikrofonu, kiedy nachylałem się nad trupem.

– Właśnie miałem was wywołać, bo usłyszałem strzał z waszej strony! Kto tam szedł? Obok mnie nikt się nie prześlizgnął! – warczał agent.

– Skąd ten dupek przyszedł? – zastanawiał się na głos brat.

– Nie mam, kurwa, pojęcia, ale skądś musiał. To ostatnie pomieszczenie w tej części korytarza – rzuciłem, wychylając się na zewnątrz.

Zaczął obszukiwać kieszenie martwego typu, gdy w słuchawkach odezwał się Ash.

– K., dół jest czysty, ale są tu jeszcze piwnice. Jeżeli są tak wielkie jak parter, to się, kurwa, zasapię na śmierć. Schodzimy tam – wydyszał.

– Okej, odezwij się, kiedy tam dotrzesz – rzuciłem szybko, zajęty przyglądaniem się ścianom w korytarzu.

– Nie znalazłem przy nim niczego, nawet skruszonego tytoniu. – Bronx stanął obok mnie. – Myślisz, że jest tu ukryte przejście? – zapytał, głaszcząc dłonią ścianę i pukając w nią.

– Całkiem możliwe, chyba że to X-men z umiejętnością przenikania. – Zerknąłem na brata i obaj spojrzeliśmy na trupa leżącego za nami.

– Nie. Za gruby – cmoknął Bronx.

– Kretyn.

W odpowiedzi usłyszałem jego chichot.

– Jak on się tu dostał... – urwałem natychmiast, bo przed moim nosem rozsunęła się ściana i w ostatniej chwili podnieśliśmy broń gotową do strzału.

Ku naszemu całkowitemu zaskoczeniu w przejściu stał Trace z wycelowaną w nas swoją berettą. Jego równie zdumiona twarz opleciona była szarą pajęczyną.

– Chryste! – sapnąłem, opuszczając broń. – Dlaczego, kurwa, nie zameldowałeś, że wlałeś w pieprzoną ścianę?! – wrzasnąłem na niego.

– A dlatego, że tam nie ma jebanego zasięgu! – warknął, ściągając z twarzy lepiałe ustrojstwo.

– Stary – Bronx pokręcił głową – mogliśmy cię odpalić. – wydyszał jak lokomotywa i dopiero teraz opuścił swój karabin.

– Taa, chyba ja was – parsknął Trace. – Próbowałem was wszystkich wywołać, ale tam jest jak w ciemnej dupie.

– Jak, do cholery, tam się znalazłeś? – zapytałem, mijając go i zaglądając w ciemne pomieszczenie.

– I tu jest haczyk, mamy niespodziankę.

Nie widziałem na jego ustach uśmiechu.

Spojrzałem na niego z nadzieją w oczach, ale opadła.

– To nie jest Blue – stwierdziłem.

– Przykro mi, bracie. – Zaprzeczył ruchem głowy. – Bardzo chciałbym przekazać ci taką informację.

Westchnąłem głęboko i klepnąłem go w ramię.

– Ale musicie pójść za mną i sami zobaczyć. – Odwrócił się i zniknął w ścianie.

Poszliśmy za nim ciemnym korytarzem z blado żarzącymi się żarówkami.

– Nie zdążyliśmy dać wam znać, bo wywiązała się mała przepychanka i Storm musiał interweniować. – Odwrócił do nas głowę. – Ale dzięki temu odkryłem to przejście. Biker zajął się niespodzianką, a ja poszedłem sprawdzić pomieszczenie. – Maszerował dalej. Słowa odbijały się od ścian i miałem wrażenie, że jesteśmy zamknięci w zakorkowanej butelce. – W pierwszej chwili myślałem, że to ukryty pokój i może trzymają tam Blue. – Zatrzymał się przed ścianą, sugerując koniec korytarza i pociągnął niewielki uchwyt, rozsuwając ją. – Ale to – odsunął się z przejścia, dając mi widok na wnętrze – również powinno cię zadowolić, bracie.

Wszedłem do jasno oświetlonego pomieszczenia, mrużąc oczy.

– Oto nasza niespodzianka. – Trace klepnął mnie w ramię, stając obok.

Gdy mój wzrok przyzwyczał się do światła, byłem wprost zachwycony. Niespodzianka natomiast już nie tak bardzo.

ROZDZIAŁ 2

*Odwaga nie zawsze krzyczy. Czasami odwaga to cichy głos
na koniec dnia, który mówi:
„Spróbuję jutro jeszcze raz*

Mary Anne Radmacher

Abigail

Miałam *déjà vu*. Musiałam mieć, bo jak nie, to oznaczałoby to, że zwariowałam.

Czułam przenikliwy chłód i miałam dreszcze, a na dodatek do moich nozdrzy docierał znajomy smród piwnicznej stęchlizny. Ból głowy rozłupywał mi czaszkę i miałam wrażenie, że za chwilę mi eksploduje. Byłam rozpalona jak martenowski piec, mając zapewne wysoką gorączkę. Próbowałam otworzyć oczy, ale tym razem zamiast worka na głowie miałam zawiązane czymś oczy.

Zawiązane oczy? Ale jak to? Dotarło to do mnie nagle i chciałam podnieść dłoń do twarzy, aby zdjąć to gówno. Jednak gdy moja ręka w połowie drogi nagle zatrzymała się w miejscu, zamarłam. Szarpnęłam ręką jeszcze raz i usłyszałam szcęk łańcucha, który ograniczał mój ruch. Cofnęłam łokieć i trafiłam nim na zimną ścianę. Oddech uwiązał mi w gardle, ponieważ to zdecydowanie nie pasowało do mojego *déjà vu*.

Byłam przykuta łańcuchem do ściany!

– Skurwysynyyyyy! – krzyknęłam. – Co. Tym. Razem. Gnoje?! – dawałam upust swojej złości.

Zakrztusiłam się, ponieważ moje gardło było suche jak pieprz. Miałam wszystkiego dosyć i dopadło mnie zwątpienie. Jakim musiałam się urodzić pechowcem, że własna matka mnie nie chciała, a teraz Bóg mnie opuścił... Całe życie walczę, aby mieć pewność, że jestem wartościowa i zasługuję choćby na kropelkę szczęścia. Myślałam, że jestem silna i odważna, niestety jestem jednym, wielkim, pierdolonym rozczarowaniem. Nie potrafiłam się uratować, bronić i zadbać o siebie. Jakąkolwiek podjęłam decyzję, kończyła się fiaskiem, rozczarowaniem i czym tam jeszcze można było sobie dopowiedzieć.

Ja byłam porażką.

Chciałam się podnieść i usiąść, ale krzyknęłam z powodu bardzo silnego bólu w lewym ramieniu. Złapałam haust powietrza, bo nie spodziewałam się, aż takiego zapierającego dech w płucach bólu.

– Co do cholery? – jęknęłam.

Chciałam dotknąć bolącego miejsca, ale nie mogłam tego zrobić przykuta do ściany. Dosięgałam tylko do dłoni lewej ręki i wyczułam moje ramię włożone w temblak. Ewidentnie coś poważnego mi się stało i czułam, że nie było to zwichnięcie lub złamanie. Jedyne, co mogłam zrobić, to ograniczyć maksymalnie ruchy ramieniem i wybadać palcami, jakie napięcie miał łańcuch. Ku mojemu zdziwieniu było metalową obejmą zamykaną na zwykłą śrubę z grubą nakrętką. Nie wysilili się. Zaczęłam palcami odkręcać śrubę. Ból nie ustępował i zacisnęłam powieki. Słodki Jezu, zostałam brutalnie pobita, potem roztrzaskałam sobie biodro, następna była przeprawa przez las i bagna, a teraz Bóg jeden wie, co się stało z moim ramieniem. Zanim będę mogła oddać ostatnie tchnienie, moje ciało zmieni się w miazgę.

Łzy podeszły mi do oczu i nie mogłam ich powstrzymać. Poczułam gorycz w gardle i zaczęłam płakać, a po chwili po prostu rozryczałam się już jak bóbr. Z bólu, frustracji i bezsilności. Jak

mogłam do tego dopuścić? Jak mogłam dać się ponownie uwięzić? Tyle wysiłku i starań, żeby odzyskać wolność. I wszystko na nic. Nie pomogłam trzem kobietom na bagnach, bo byłam tchórzem i zanim zdecydowałam się im pomóc, było za późno. Nie wybaczę sobie tego, że zachowałam się w ten sposób, na dodatek na sam koniec dałam się złapać psychopacie.

Karma wracała i była nieprzewidywalną, bezduszną suką.

Płakałam do momentu, aż łzy przestały lecieć i wyschły, ściągając skórę na moich policzkach. Obolałe gardło domagało się wody, a usta miałam spękane, jak bym przebywała od tygodni, na pustyni. Powoli starałam się uspokoić i zaciskając szczękę zarówno z bólu jak i z wściekłości, ponownie podjęłam próbę poluzowania śruby. Uwięzioną dłoń zacisnęłam w pięść, wbijając sobie paznokcie w skórę, ponieważ nakrętka wcale nie chciała puścić. Była prawdopodobnie stara i zardzewiała, bo pod palcami czułam skruszone drobinki metalu. Nie poddałam się jednak i powoli skubałam to dziadostwo, kawałek po kawałku.

W końcu nigdzie mi się nie spieszyło, prawda? Miałam cały czas tego świata!

– Kurwa! – krzyknęłam po raz kolejny.

Opuszki zaczynały wściekle piec i musiałam dać im chwilę odpocząć. Wciągnęłam powietrze nosem i zrobiłam kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Zakręciło mi się w głowie, a ból w oczodołach przypominał mi, że mam gorączkę. Chwilę poleżałam, odpychając od siebie natłok myśli, co by było, gdyby. To już nie miało znaczenia. Ważne było tu i teraz oraz to, jak się z tego wydostać. Miałam zamiar uciekać aż do skutku lub do momentu...

Nie! Muszę przeżyć.

Zabrałam się ponownie za nakrętkę, ale tym razem jednak podeszłam do niej bardziej energicznie i jakież było moje zdziwienie, gdy nagle rozleciała się w moich palcach na kilka części. Byłam przeszczęśliwa! Ten mały sukces podniósł mnie na duchu. Wszystko mogło się udać, jeszcze nie było nic straconego.

Zerwałam metalową obejmę z nadgarstka i odetchnęłam, odrzucając łańcuch na materac. Uwolnioną dłonią szybko zdjęłam opaskę z oczu i zamrugalam. W pomieszczeniu, które jak podejrzewałam, już znałam, panował półmrok.

– Mój słodki Boże! – Zakryłam dłonią usta, ponieważ zbierał się we mnie krzyk rozpacz.

Dotarło do mnie, że byłam w Belgii i to w miejscu, gdzie obudziłam się po moim pierwszym porwaniu. Jednak mój nos mnie nie zawiodł, rozpoznając smród pomieszczenia. Przypomniałam sobie starą Beatrice i jej obleśnego męża. Odruchowo spojrzałam w kierunku drzwi do celi i przywoływałam wspomnienia sprzed ponad miesiąca. Rozpacz łamała mi serce.

Byłam tak daleko od Kellana, chłopaków i Jo. Tak strasznie daleko od domu. Przecież dopiero co go znalazłam!

Przytrzymując prawą ręką ranne ramię, podniosłam się i usiadłam na łóżku. Z całych sił starałam się opanować swoje emocje. W moim sercu cały czas pozostawała iskierka nadziei, że Kellan w krótkce mnie odnajdzie. Trzymałam się tego jak tonący brzytwy i musiałam postarać się przeżyć do tego czasu. Wyczułam obrączkę z pierścionkiem na palcach lewej dłoni i przyłożyłam ją do ust, składając na niej pocałunek. Przymknęłam powieki i naszło mnie jeszcze inne przeczucie, które napawało mnie strachem. Moje jelita zawiązały się w supeł, mocno dając się we znaki. Byłam pewna, że czeka mnie tutaj prawdziwe piekło.

Zatraciłam się w myślach, starając się przypomnieć sobie, co dokładnie się wydarzyło. Szalony bieg przez las, grzęźnięcie w bagnach, potem ta dziewczyna. Blondynka. Rozdzieliłam się z nią, ale coś mnie w niej zastanowiło. Było ciemno i byliśmy brudni od błota, ale kiedy zauważył nas Diabeł, syn van den Roya, spanikowała tak strasznie, że nie miałam szans ją uspokoić. Nawet kiedy ją uderzyłam i pozbawiłam na moment przytomności, miałyśmy zerowe szanse, ponieważ nawet wtedy, gdy on pobiegł za nią, w efekcie i tak

mnie złapał. Słyszałam w głowie jej krzyk i strzał, ponownie czując ręce oplatające mnie w pasie. Niestety, mimo iż światła pojazdów już zaczęły nas oślepiać, były jakieś paręset jardów od nas. I wtedy przystawił mi do skroni pistolet, i poczułam niesamowity ból... Właśnie!

To było moje lewe ramię.

Poczułam jakby ktoś roztrzaskał mi cały bark. Pamiętam, że szarpnął mnie w tył, zanim straciłam przytomność. Teraz w mojej głowie pojawiają się małe przebląsy wspomnień z jakiegoś tunelu. Ktoś niósł mnie na rękach. Widziałam przede mną Diabła, prowadzonego przez podtrzymujących go po bokach dwóch postawnych ludzi. Jego koszula na plecach była cała czerwona. Kapała z niej krew.

Był ranny? Oboje byliśmy. Czyżbym została postrzelona? On to zrobił, a może potem ludzie z wozów zranili jego? Nie miałam wątpliwości, że widzieli mnie biegnącą w ich stronę.

Zerknęłam na ramię i zerwałam temblak. Mimo słabej widoczności w pomieszczeniu mogłam zobaczyć zabandażowany bark. Zaczęłam szukać miejsca, gdzie mogłabym odchylić opatrunek i podejrzeć, co znajduje się pod nim. Za dużo jednak nie zobaczyłam, ale wyczułam okrągłe zgrubienie wielkości zakrętki od butelki pod bandażem.

Cholera. Postrzał. Jednak miałam dobre przypuszczenia.

Ale dlaczego?

Byłam dezorientowana, ponieważ przecież nie stanowiłam dla nikogo zagrożenia! Byłam tylko ofiarą! Jak mogli tak mnie... Ale moment. Przecież Diabeł też był ranny!

A może to do niego strzelano? Ktoś widocznie spudłował i mnie trafił.

Kim w ogóle byli ci ludzie?

Przez chwilę przeszła mi przez głowę myśl, że może policja ich namierzyła. Jo mogła ich powiadomić i mnie znaleźć. Ale składając wszystko do kupy i nawet gdyby policja mnie szukała, to był tylko jeden człowiek, który mógł mnie odnaleźć.

Kellan.

Wypuściłam powietrze ze spierzchniętych ust i wyskoczyłam z czegoś, co wyglądało jak szpitalne łóżko. Spojrzałam na siebie i zobaczyłam, że ubrana jestem w ciemną podkoszulkę na ramiączkach i majtki w podobnym kolorze. Nadal byłam boso i moje stopy bardzo bolały. Były spuchnięte i wyglądały jak u Frodo Bagginsa.

Moją rozpacz przerwały odgłosy zza drzwi. Ktoś był po drugiej stronie, jednak nikt nie otworzył mojej celi. Usłyszałam natomiast skrzypnięcie gdzieś obok i nagle do moich uszu dobiegł przeraźliwy pisk. Dziecięcy pisk. Zesztywniałam i żółć podeszła mi do gardła. Zakryłam dłonią usta i przykucnęłam ze strachu pod ścianą. Boże miłosierny, mieli tu dzieci i doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, co to oznacza.

„Co ja mam zrobić? Co ja mam, kurwa, teraz zrobić? ”, myślałam, szarpana strachem.

Pisk dziecka gwałtownie ustał i po chwili rozległ się szczełk zawiasów w drzwiach oraz odgłos przekręcanego zamka. Nastąpiła cisza i odniosłam wrażenie, że ten, kto tam był, nasłuchiwał.

Siedziałam nieruchomo, prawie nie oddychając, przez kilka dobrych minut. Ramię rwało i rozcierałam je delikatnie, kiedy usłyszałam oddalające się odgłosy czyich kroków. Mężczyzna, wysoki i postawny, ponieważ idąc, stawiał ciężko stopy. Młody i zdenerwowany, bo szedł energicznie w nierównym tempie. Buty prawdopodobnie bojowe, ponieważ grube podeszwy dudniły, wydając egzemplaryczny militarny odgłos na korytarzu. Lubi luźny styl...

Nagle zamarłam, ponieważ dotarło do mnie, że właśnie zrobiłam profil psychologiczny mężczyzny na podstawie sposobu poruszania się i rodzaju butów!

– Cholera jasna! – szepnęłam zszokowana i przyłożyłam dłoń do gorącego czoła. – Chyba całkiem mi odbiło. Gratulacje, Abigail, jestem z ciebie dumna – powiedziałam sama sobie.

Doczłapałam z powrotem do łóżka i rozejrzałam się za wodą lub czymkolwiek. Nic nie dostrzegłam. Susza. Chcą mnie kontrolować

poprzez brak wody i jedzenia? Bardzo proszę. Trochę się rozczerują, bo czasami nie jadłam kilka dni. Bez wody też długo wytrzymam. Położyłam się z powrotem i zamknęłam oczy, powstrzymując zawroty głowy. Byłam wyczerpana i nawet nie wiedziałam, kiedy zasnęłam.

Ze snu wyrwał mnie dźwięk otwieranych z impetem drzwi. Serce skoczyło mi do gardła i spojrzałam w ich kierunku. Tak jak poprzednim razem, z korytarza wpadł do celi długi snop światła, który przesłaniała, i to dosłownie, wielka postać mężczyzny. Szczupły, z krótkimi włosami i nie był to Diabeł. Coś przybliżonego do ulgi dotknęło mojego serca.

Może kutas zdechł?

Mężczyzna wszedł do celi krokiem przypominającym skradanie się drapieżnika do ofiary. Stanął naprzeciw mnie w lekkim rozkroku, z jedną dłonią w kieszeni spodni. Przekrzywił głowę lekko na bok i włączywszy latarkę, skierował snop światła wprost na moją twarz.

– Nie po oczach. Kurwa! – syknęłam, mrużąc moje opuchnięte i piekące powieki.

– Widzę, że wróciłaś do żywych – oznajmił zachrypniętym głosem, który samym tylko brzmieniem wywoływał strach. Przesunął latarkę po moim ciele, lustrując mnie. – I nawet się rozkułaś. Imponujące. – Cmoknął.

– Co mi się stało w ramię? – Nie wiem, dlaczego o to zapytałam, ale chciałam odwrócić jego uwagę od przyglądania się.

– Przecież wiesz już, że cię postrzelono. – Przyglądał mi się z wielkim skupieniem. – Nie jesteś idiotką, prawda?

Bezpośredniość jego słów mnie zaskoczyła.

– Jak do tego doszło? – zapytałam beznamyślnie.

– Zostałaś postrzelona na polowaniu – burknął.

– Jasne – mruknęłam. – A na jakim? Na króliki czy bażanty, a może na kobiety?

– Pyskata. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Trzeba cię przytemperować.

Schylił głowę tak, jakby chciał zajrzeć mi głęboko w oczy. Nie widziałam jego twarzy.

– Pocałuj mnie w dupę – warknęłam.

– Uwierz mi, że bardzo bym chciał – szepnął. – Jednak mam czasowo pewne ograniczenia, Abigail – zaśmiał się, po czym wyłączył latarkę i złapał mnie mocno za zdrowe ramię, ściągając z łóżka.

Zrobiło mi się gorąco.

– Idziemy – syknął i szarpnął mnie w stronę drzwi.

Wyrwałam mu się i zaciskając zęby z bólu, ruszyłam w stronę wyjścia, okrążając mężczyznę sporym łukiem. Widziałam, jak się palant uśmiecha.

– Byłem pewny, że kiedy cię poznam osobiście, nie rozczarujesz mnie – szepnął mi nagle do ucha.

Wzdrygnęłam się, ponieważ zaskoczył mnie, znajdując się nagle tak blisko.

– Gdzie są Beatrice i Paul? – zapytałam, chcąc skierować rozmowę na inny temat.

– Cóż, powiem wprost. Byli zamieszani w spisek i ukryli fakt przetrzymywania cię tutaj za pierwszym razem.

– Niesamowity brak kontroli nad ludźmi. Jeśli to twój błąd, to jesteś słabym zarządcą.

– Mylisz się. Każdy ma swoją cenę, nawet najwierniejsza osoba. Kontrola tu nie ma nic do rzeczy.

Gdy przekroczyłam próg celi, ciężko przełknąłem ślinę, krzywiąc się na myśl o tym, co czekało mnie tym razem na zewnątrz. Nie miałam wyboru i ruszyłam do przodu. Starłam się wychwycić na korytarzu jakieś odgłosy z mijanych po drodze pomieszczeń, ale panowała grobowa cisza. Byłam przerażona losem dziecka, które słyszałam. Dzieci od tak nie przestają płakać i coś musiało mu się stać. Ten ktoś musiał mu coś zrobić. Nie miałam jednak odwagi zapytać kroczącego za mną mężczyzny o los malucha. Bałam się usłyszeć prawdę i bałam się, że moje pytanie go zderwuje. A nie chciałam z nim jeszcze konfrontacji, póki go nie rozgryzę.

Dotarliśmy do wyjścia na zewnątrz i zauważyłam, że metalowa krata nie ma kłódki na skoblu. Była to bardzo ważna informacja, ale przestałam ją analizować, kiedy postawiłam bose stopy na twardej, nierównej ziemi, sycząc z bólu. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z ran, które się na nich znajdowały. Mężczyzna pchnął mnie i zmusił do pójścia przodem. Oczywiście wiedział, że znałam drogę, a krajobraz nie zmienił się tak bardzo, od ostatniego razu. Jediną zmianą było to, że na zewnątrz było widno. Szłam, rozglądając się i skanując otoczenie, ponieważ chciałam rozeznać się w terenie, póki mam taką okazję.

– Stąd nie ma ucieczki, Abigail. – Usłyszałam go znowu tuż za sobą. Stałam w miejscu i nie odwracając się, odpowiedziałam:

– Nie ma rzeczy nie możliwych.

Dogonił mnie i stanął obok, wyciągając z kieszeni marynarki jakiś drobnutki łańcuch. Zanim przyjrzałam się dokładnie, już zapinał go ma mojej szyi! Byłam sparaliżowana. Założył mi obrozę jak psu! Instynktownie ciągnęłam za łańcuch ciasno oplatający moją szyję, ale mężczyzna doczepił smycz, szarpiąc mnie w tył. Musiałam puścić go, aby zachować równowagę, nie upadając. Owinął wokół dłoni mały łańcuszek, a drugą od niechcenia włożył do kieszeni, stając przede mną. Mój wzrok padł na drogie, eleganckie, czarne buty ze skóry. Przesunęłam wzrokiem po jego wysokiej i smukłej sylwetce, ubranej w jasno szary garnitur i rozpiętą pod szyją białą koszulę, spod której odznaczał się jakiś tatuaż zachodzący na szyję.

– Może myślisz w tej chwili, że masz szansę przejąć kontrolę nad swoim życiem, ale zapewniam cię, że jesteś w błędzie, Abigail – mówił do mnie spokojnym i rzeczowym tonem.

Spojrzałam mu w końcu w twarz.

Cholera.

Był niesamowity, to trzeba było przyznać, ale dla mnie w żaden sposób nie był atrakcyjny i gardziłam nim. Zza wyglądających na drogie okularów spoglądały na mnie duże niebieskie oczy otoczone

ciemnymi rzęsami. Twarz mężczyzny z zarysowaną mocno szczęką i prostym nosem spokojnie mogła być na szczycie rankingu top modeli. Krótko przystryżone czekoladowe włosy, ułożone w modny nieład, nadawały mu wygląd młodego biznesmena z Wall Street. Emanował pewnością siebie i był typem zaborczego mężczyzny z tendencją do kontrolowania wszystkich aspektów życia ludzi, którymi był zainteresowany. Mogłabym się założyć, że ma typowo obsesyjną osobowość. Chce wiedzieć wszystko i zawsze wydaje się ofensywnie nastawiony. Doskonale maskuje swoje emocje i potrafi powstrzymać swoją wrodzoną agresywność. Obsesja kontrolowania. Znowu zrobiłam profil i ewidentnie coś ze mną było nie w porządku. Możliwe, że stres uruchamiał w mojej głowie potrzebę analizowania ludzi.

Mężczyzna przyglądał mi się z uwagą i chyba próbował wyrzucić na mnie presję. Znałam to spojrzenie i najchętniej walnęłabym go w zęby. Nie miałam nic do stracenia i musiałam atakować w inny sposób.

– Nie mów o sprawowaniu kontroli, kiedy sam w tej chwili ledwo ją zachowujesz – odpowiedziałam mu również spokojnym tonem.

Zauważyłam moment zaskoczenia, który na ułamek sekundy pojawił się na jego twarzy, oraz ledwo widoczny ruch szczęką. Tak, dupku. To się nazywa prowokacja w celu wywołania silnych emocji i zmuszenia do niekontrolowanego zachowania.

Jednak moja satysfakcja nie trwała długo, bo po chwili kąćki jego ust podniosły się w lekkim uśmiechu i spojrzał gdzieś w bok. Zamyślił się chwilę i nie patrząc już na mnie, odpowiedział:

– W krótkce pokażę ci, jak potrafię zachowywać kontrolę, i to ci się nie spodoba. A teraz ruszaj dupę, idziemy. Nie mam czasu na brednie. – Naprężył łańcuch i zaczął ciągnąć mnie za sobą.

Może jednak go sprowokowałam.

Ledwo za nim nadążałam, stopy okrutnie bolały i czułam otwierające się rany. Ból w przestrzelonym ramieniu promieniował aż do łopatki. Po kilku minutach dotarliśmy do schodów, po których

ponad miesiąc temu wprowadzała mnie para starców. Wchodzenie po nich z poranionymi stopami stanowiło dla mnie nie lada wyczyn. Uwiązana na łańcuchu i wciągana jak zwierzę, zacisnęłam zęby, nie okazując bólu. Po wejściu na szczyt nie zdziwiłam się też, widząc zbira w kominiarce stojącego przy metalowej furtce, uzbrojonego w kałasznikowa. Jednak droga, którą dalej ciągnął mnie mężczyzna, nie była mi już znajoma. Szliśmy kamienistą ścieżką, mijając wejście do posiadłości, które za dnia wyglądało jak przerobiona powozownia, a nie wiktoriańska willa, za jaką uważałam ją podczas mojej ostatniej gościnnej wizyty. Wyszliśmy spod koron pięknych, starych dębów i oniemiałam. Przede mną stał wspaniały zamek w stylu gotyckim, zachwycający swoim dostojnym pięknem. Monumentalna budowla zbudowana z czarnego kamienia sprawiała wrażenie niedostępnej i symbolizowała bogactwo, a przede wszystkim władzę. W dwóch widocznych od tej strony narożnikach zamek miał półkoliste baszty, które pełniły pewnie kiedyś funkcję obronną lub obserwacyjną. Otaczający go mur obronny, który mogłam dostrzec w oddali, nosił niestety ślady upływu czasu i był zapewne niemym świadkiem minionych wydarzeń. W pewnej chwili przystanęłam i wyrwałam łokieć z uścisku mężczyzny, ponieważ uderzyła mnie otaczająca nas zupełna cisza. Żadnych śpiewów ptaków czy odgłosów życia, jedynie ciepły, ale dość silny wiatr, który rozwiewał moje brudne kołtuny na głowie. Patrząc na budowlę, wydawało mi się, że zaczynam słyszeć w głowie tysiące szeptów opowiadających na raz, krwawą historię tego miejsca. Wyskoczyła mi gęsia skórka na ciele i nie byłam już tak zachwycona otaczającym mnie widokiem. Absolutnie, nie było to dobre miejsce i zewsząd czułam napływającą negatywną energię. Z trudem odwróciłam się, kierując wzrok na fasadę z bramą wjazdową, która wyglądała na odbudowaną. Kamień w tym miejscu był wyraźnie jaśniejszy. Droga od bramy, prowadziła na spory dziedziniec. Resztę widoku, przesłoniły mi wpatrujące się we mnie niebieskie oczy.

– Jest zachwycający, czyż nie? – zapytał cicho, przysuwając się do mnie. Przeniósł swoje długie, przeszywające spojrzenie z moich oczu na nos i usta.

– Tak, ale jest też..., inny. – przełknęłam z trudem.

Nie chciałam mu powiedzieć, że właściwie to mnie przerażał. On i ten zamek.

Jego oczy nagle pociemniały i w takim momencie jesteś pewna, że facet patrzący na ciebie w ten sposób, nie jest zainteresowany tym co mówisz i raczej cię słyszy niż słucha, a jego myśli skupione są raczej na tym, co ma zamiar zrobić za chwilę. Odwróciłam od niego głowę i udawałam, że ponownie podziwiam krajobraz. Objęłam się zdrową ręką, masując ranne ramię. Kątem oka dostrzegłam, jak przygląda się mojej sylwetce. Poczułam zażenowanie, przypominając sobie, że mam na sobie tylko bieliznę. Moje policzki pokryła czerwień i spojrzałam znów w jego stronę. Uśmiechnął się, a jego górne zęby ukazały lekką krzywiznę, dodającą mu uroku. Skurwysyn był fantastyczny.

Ale to tylko skurwysyn, wzbudzający we mnie obrzydzenie.

ROZDZIAŁ 3

Masz wrogów? Dobrze. To znaczy, że stanąłeś kiedyś w swoim życiu w obronie czegoś

Winston Churchill

Kellan

Pośrodku głównej sypialni, na krwistoczerwonym szezlongu ze złotymi ozdobami siedział sam Baron van den Rooy. Jego i tak już posiniaczona, prawdopodobnie przez Trace'a, twarz zrobiła się purpurowa na mój widok.

– Masters! – ryknął, po czym się poderwał.

Ruszyłem w jego stronę i nie zatrzymując się, wymierzyłem cios w jego szczękę. Padł zdeorientowany z powrotem na mebel. Jedną ręką złapałem go za koszulę i podciągnąłem do siebie.

– Gdzie jest moja żona? – wysyczałem mu w twarz przez zaciśnięte zęby.

– I ty myślisz, że ja ci powiem? Masters, chyba ci odbiło – zaśmiał się, oblizując swoim porowatym, białym, obslizzgłym jak u gada językiem rozciętą wargę.

– Niezależnie od tego, co mi powiesz, umrzesz właśnie dzisiaj. – Również się uśmiechnąłem. Ale mój uśmiech był bardziej szalony i jego zniknął natychmiast.

Usłyszałem, jak Fletcher, który do nas dołączył mówi do Trace'a:
– Wychodzę na korytarz.

Mądry glina.

– Nie odzyskasz jej, to się nie stanie – ciągnął dalej Baron. – Twój upór mnie zadziwia, Masters. – Tym razem on przysunął się do mojej twarzy jeszcze bliżej. – Ona ma już ułożoną przyszłość i jest jedną z nas, zawsze była! – krzyknął, plując śliną.

Zaczęły układać mi się puzzle w głowie i w jednej sekundzie oblał mnie zimny pot, bo złożyłem prawdopodobnie cały obraz i zaskoczyłem, do czego potrzebna jest im Blue. Nie rozumiałem tylko zwrotu „jest jedną z nas, zawsze była”.

– Chciałem jej, bardzo. Jednak widzisz, nawet ja muszę przestrzegać pewnych zasad. Nie ja ją odnalazłem, gdyby tak było, nikt by się o niej nie dowiedział. Teraz to tylko kwestia czasu, a będzie należała, do któregoś z nich – westchnął.

– O czym ty, kurwa, bredzisz, Johan? – Byłem totalnie skołowany.

– Gdyby nie ty... tam w Belgii, miałbym ją pod sobą, zanurzony w niej po same jaja. Byłbym pierwszy! – krzyknął mi w twarz.

Pociemniało mi w oczach, ale musiałem się powstrzymać. Jeszcze małą chwilkę. Znieruchomiałem, intensywnie rozważając to, jak podejść Barona, żeby potwierdził moje podejrzenia i wyjaśnił mi, kim są „nich”.

– Nic nie możesz zrobić, głupcze. – Pluł dalej.

Postanowiłem zblefować, co wychodziło mi bardzo często bezbłędnie.

– To się jeszcze okaże... Johan. Ty i ta twoja szatańska zgraja wkrótce się o tym przekonacie. – Wypowiadając jego imię, starałem się, aby mój głos zabrzmiał jak szept rasowego socjopaty.

Baron rozszerzył nieco oczy, co oznaczało, że moje słowa wywarły na nim jakieś wrażenie. Po chwili jednak z jego parszywych ust wydobył się zachrypnięty śmiech.

– Masters, czy ty siebie słyszysz? – Zaśmiał się w moją twarz. – Szatańska zgraja? Chłopcze, my nie zajmujemy naszego cennego

czasu i nie marnujemy naszych pieniędzy na zabawy w jakiś jebany kult. – Uśmiech nie schodził mu z twarzy. – Łykacie to jak wszyscy, którzy mają to tak odbierać. Ta plotka została stworzona dla świadków, dla was.

Spojrzał na chłopaków, a ja byłem zaskoczony, i to na serio.

– Czasem musieliśmy improwizować, żeby zyskać ich całkowite poddanie. Nic tak nie motywuje do uległości, jak słowo „szatan”, czyż nie? – Szyderczy śmiech znów wpłynął na jego parszywą gębę. – Owszem, zabawialiśmy się w czarne msze i dzikie orgie. To podnieca dając otoczkę tajemniczości i zyskuje coraz więcej wielbicieli wśród elit. Niektórzy rzeczywiście wierzyli, że są częścią kultu. Czegoś większego i nieosiągalnego dla zwykłych robaków, jak wy. To bardzo drogie członkostwo zważywszy na „towar” jaki dostarczamy. Proponowałem ci spróbować. Pamiętasz?

Patrzyłem na niego przez chwilę i byłem zdezorientowany.

– Jezu, co za zjeby – mruknął z boku Storm.

Wszystko, co przed chwilą powiedział, stało się nagle dla mnie oczywiste.

– Ukrywacie wasze prawdziwe dewiacje seksualne pod płaszczykiem kultu? – Zmrużyłem oczy.

– Pieprzysz wtedy, kogo chcesz i tak jak lubisz, bo lepiej brzmi, jak powiesz, że szatan ci to nakazał. – Śmiał się.

Pokręciłem głową w niedowierzaniu.

– Jak świat możnych i bogatych by na to zareagował? – Zmrużyłem oczy, wwiercając je w niego.

– Dobre pytanie, Masters. Jednak muszę cię zaskoczyć, że mało kto ze świata możnych i bogatych nie uczestniczył w tym przynajmniej raz. – Cmoknął i pokiwał głową w uznaniu. – Nie złożymy twojej żonki w ofierze. – Znowu zaczął rechotać. – Och, chłopcze, uczynimy z niej matkę dziedzica najzamożniejszego rodu w Europie. Rodu, który od pokoleń rodził królów i miał największą władzę. To, że jest już twoją żoną, nie ma znaczenia. Nikt się o tym nie dowie,

a jej nikt nie uwierzy. – Wwiercał teraz we mnie swój pusty wzrok.

O mało nie oszalałem, słysząc to wszystko.

– Nie macie, kurwa, swoich kobiet, tylko porywacie i gwałcicie inne, zmuszając je do rodzenia wam dzieci? – Bronx chciał do niego skoczyć, ale zatrzymałam go, wbijając mu w klatkę swoją dłoń.

– To wyjątkowa sprawa rodzinna i nie muszę się tłumaczyć. A jeśli Abigail będzie miała szczęście i będzie mądra, to kto wie... – kontynuował z przekonaniem. – Może znajdzie dla siebie korzyści. – Szydził ze mnie. – Wiem o Abigail Doe wszystko, nawet to, czego ona sama nie wie. Rozumiesz! Nie ma wątpliwości, że to najlepsza partia dla przyszłego lidera naszego społeczeństwa.

Skurwysyn!

– Nie, Johan, nie wiesz – zacisnąłem dłoń na jego gardle – nic o mojej żonie.

Podniosłem go w górę i rzuciłem o ścianę, ściskając dłonią jego szyję.

– Abigail Masters. To raz – warknąłem mu w twarz. – A dwa, to nici z waszego planu dziedziczenia, Johan. – Przysunąłem bliżej moją twarz do jego i zajrzałem mu głęboko w oczy.

To, o czym rozważałem, miałem w kieszeni moich bojówek i dał mi to Bronx. Przechyliłem lekko ciało, żeby dosięgnąć dłonią kieszeni na udzie i nie spuszczać z Barona oczu, wyjąłem z niej plastik. Zbliżyłem go do jego twarzy i ustawiłem tuż przed nosem.

– Patrz, Johan, bardzo uważnie, bo to jest ważna chwila. Właśnie dzielę się z tobą informacją, o której wiedzą tylko moi bracia. – Mój uśmiech na twarzy powiększał się, gdy spoglądałem w zszokowane oczy van den Rooya. – Będę ojcem.

Zapanowała całkowita cisza.

Baron spojrzał po otaczających go twarzach i krew odpłynęła mu z twarzy. Zmarszczył brwi i odezwał się ledwo słyszalnie.

– Nie wierzę ci. Blefujesz, Masters. – Przełknął ślinę.

– Nie musisz mi wierzyć – odparłem.

– To... to nie tak miało być... to, to nie możliwe... ty... ty nic nie rozumiesz, Masters! To jest majątek nie do opisaniania! To są przywileje, władza! Ona nie może być w ciąży... nie, nie, nie z tobą!

Widziałem w jego oczach rosnącą panikę i postanowiłem dowiedzieć się jeszcze jednej rzeczy, dopóki był w takim stanie.

– Powiedz mi, dlaczego akurat ona? O co chodzi, Johan? – Zniżyłem głowę, żeby lepiej widzieć jego gadzi pysk.

Patrzył na mnie rozbieranym wzrokiem.

– Znalazł ją przez przypadek... – Zamyślił się, spoglądając gdzieś w przestrzeń za mną. – Tyle czasu była dla nas niewidzialna, a teraz należy do nas i jest tam, gdzie powinna.

Nic nie rozumiałem z tego, co powiedział, i nie miałem zamiaru już dłużej z nim rozmawiać.

– Ona nie należy do nikogo. Jest panią samej siebie.

Moje oczy zasłoniła mgła i krew zawrzała w moich żyłach na samą myśl o tym, że jakiś chory gnój w tej chwili uzurpuje sobie prawo do Blue.

Zboczone skurwysyny.

Zacisnąłem pięści i zacząłem raz za razem uderzać tego śmiecia, robiąc z jego twarzy miazgę.

– Za moją żonę!

Cios.

Jego głowa odskoczyła w tył i odbiła się od ściany.

– Za ośmioletnią dziewczynkę, którą zgwałciłeś i pobiłeś na śmierć!

Cios.

Szarpał ciałem, próbując wyrwać się z mojego uścisku.

– Za porywane.

Cios.

– Gwałcone.

Cios.

– Zabijane kobiety i dzieci!

Cios.

Trzask łamanej kości policzkowej i nosa jeszcze bardziej mnie nakręcił. Krew trysnęła prosto w moją twarz.

– Za te maleństwa w klubie w Vegas!

Kolejny cios, który rozłupał mu czaszkę.

– Nie będzie żadnego dziedzica!

Cios.

Szczęka luźno zwisała, poddając się uderzeniom.

– Chuju!

Dwa ciosy.

Jego krew i kawałki mózgu pokrywały ścianę, ale ja dalej waliłem w niego jak w worek treningowy i nie mogłem przestać. Nawet wtedy, gdy kości jego czaszki zaczęły ranić moje knykie.

Bronx położył dłoń na moim ramieniu i odezwał się do mnie:

– Kellan, on nie żyje. Zostaw ścierwo. Wystarczy.

– Bracie. – Oddychałem szybko i głęboko. – Chcę spalić to miejsce. Ale najpierw muszę znaleźć Blue. – Spoglądając mu w oczy dostrzegłem zrozumienie, którego szukałem. Potem odwróciłem się do Trace’a, znajdując w jego oczach to samo.

Kiwnął głową z aprobatą. Wyciągnąłem dłoń z testem ciężowym i podałem go Bronxowi.

– To twoje. Przepraszam – wyszeptałem do niego.

– K, jesteś wspaniałomyślnym skurwysynem. – Wyszczrzył do mnie swoje białe zęby.

– Spierdalamy stąd. – Trace kiwnął na nas.

Oderwałem rękaw koszuli zmarłego Barona i wytarłem sobie ręce oraz twarz. Nie martwiłem się, że zostawię tam swoje DNA, ponieważ jeszcze dziś to wszystko dookoła, pochłona płomienie. Odwróciłem się na pięcie i wyszliśmy z pomieszczenia, nie oglądając się na truchło van den Rooya.

Tym razem szedłem pierwszy, a Bronx na końcu. Znalezienie wejścia do piwnic nie zajęło nam dużo czasu i kiedy dotarliśmy do Asha,

stał właśnie w dużym pomieszczeniu. Podłogi, ściany i duży stół, jak z prosektorium, były wyłożone kremowymi kafelkami noszącymi ślady pęknięć i wyszczerbień, podobnie jak reszta pomieszczenia. Wszystko to przypominało kostnicę z ubiegłego wieku, kiedy bardziej eksperymentowano ze zwłokami, niż wykonywano na nich sekcje. Wszystko możliwe, że tutaj również dokonywano pobierania organów na handel. Dreszcz przebiegł przez moje ciało. Rozejrzałem się i zobaczyłem przechylony, uszkodzony parawan oraz porzuconą przy nim wygiętą, metalową rurkę. Ruszyłem w tamtym kierunku i natknąłem się na jeszcze większy stół. Podeszedłem bliżej, gdy mój wzrok przyciągnęły ślady krwi i włosów, znajdujących się na kafelkowym blacie. Włosy były ciemne i bardzo długie. Przełknąłem ślinę, ponieważ rozum podpowiadał mi, że należały do Blue. Jak w letargu zebrałem je ze stołu, przeciągając po zakrzepłej krwi, i schowałem do kieszeni kamizelki kuloodpornej. Chłopcy penetrowali resztę pomieszczenia i kiedy zza moich pleców odezwał się Trace, serce na moment mi stanęło. Bałem się, że ktoś powie, że Blue została znaleziona martwa.

– K., tutaj jest sarta ubrań, podejdź. Musisz to zobaczyć – krzyknął Trace.

Skierowałem się w jego stronę. Przystanąłem obok kupki szmat, a on wskazał na zwinięty materiał, leżący obok niej. Była to damska bielizna. Kucnąłem i lufą karabinu rozsunałem materiał. Zobaczyłem teraz ubrudzoną krwią znajomą koronkę przy wykończeniu misek biustonosza. Zrobiło mi się gorąco i uniosłem głowę do Trace'a. Widziałem jego wyczekujące spojrzenie.

– Była tu, Trace. – Poderwałem się i ruszyliśmy do chłopaków, którzy właśnie wchodzili przez bardzo wąskie drzwi do kolejnego pomieszczenia.

Weszliśmy za nimi do środka i naszym oczom ukazała się pusta cela, w której na podłodze leżało kilka brudnych materacy, jakieś ubrania i porozrzucane plastikowe butelki po wodzie. Dookoła

unosił się duszący zapach amoniaku. Ash podszedł bliżej i zaczął grzebać swoim butem w ubraniach. Nagle jego noga zatrzymała się w miejscu i ukucnął. Przyglądał się chwilę zwiniętemu, błękitnemu materiałowi. Stałem obok niego, a on wskazał palcem na wyhaftowany na brzegu napis.

– Szpital Memorial, Las Vegas – przeczytałem na głos i nerwowo zerknąłem na Asha.

– To szpital, gdzie leżałeś trzy dni temu razem z Lilly – szepnął, łapiąc materiał w palce.

Wstał i widziałem w jego oczach zbierającą wściekłość, kiedy zwinął materiał i mocno zacisnął w pięści.

– Przywieźli tu Lilly razem z innymi. Było tu więcej kobiet – powiedział do mnie, cedząc słowa przez zęby.

– Zanim rozjebimy to miejsce, naprawdę bardzo solidnie trzeba przetrząsnąć całą posiadłość wokół zamku – odezwał się stojący w drzwiach Bronx.

– Musimy zabezpieczyć dowody – dodał nagle Fletcher.

– Nic nie będziesz zabezpieczał. – Odwróciłem się do niego, patrząc mu w oczy.

– Ponieważ? – zapytał.

– Ponieważ, to już nie jest dochodzenie w sprawie gwałtu i porwania. Rozumiesz ,Agencje Fletcher? – Czekalem na jego sprzeciw, sam nie wiedząc dlaczego. Możliwe, że potrzebowałem pretekstu do walki. Jednak to, co wyszło z jego ust, bardzo mnie usatysfakcjonowało.

– Absolutnie, Masters. – Zmrużył oczy, wpatrując się we mnie intensywnie. Jakiś grymas, przypominający uśmiech, pojawił się na jego ogorzałej słońcem twarzy. Kiwnąłem głową w podziękę za zrozumienie i zwróciłem się do Trace’a:

– Przekaż wszystkim, że na terenie mogą znajdować się jeszcze inne kobiety... i być może dzieci. – Musiałem to dodać.

Trace utkwiał wzrok w porzrzucanych pod naszymi nogami rzeczach i przytknął palec do słuchawki, rzucając kilka zdań do naszych

ludzi, penetrujących teren w około. Wyszliśmy z piwnicy i ponownie przybraliśmy pozycje. W każdej chwili mógł nas ktoś jeszcze zaatakować. Ten zamek krył tyle zakamarków, że trudno było się w nim nie zgubić. Kiedy wyszliśmy, na dziedzińcu stało kilkoro ludzi MC Black Wings z zaparkowanymi obok motorami i ich Prez McCain oraz jeden bojowy hammer z MC Dirty Jackals.

– Jest czysto – zameldował McCain. – Choć niełatwo było przetrząsnąć cały zamek, bo to jest pierdolony kolos! – Splunął pod nogi zirytowany. – Jest sporo trupów, ale nikt z cywilów. Nie ma tu żywej duszy poza obstawą Russo. Hunter znalazł ślady, które urywają się przy linii lasu.

– Jesteśmy zaskoczeni brakiem innych mieszkańców – dodał Blade.

Zacząłem się zastanawiać, gdzie się podział reszta rezydentów zamku. Niemożliwe, żeby Baron siedział tu sam.

– Tak, to jest dziwne – mruknąłem pod nosem. – Żadnej służby, kucharzy. Nic.

Powiedziałem zgromadzonym, że trzeba przetrząsnąć jeszcze raz każdy kąt w zamku i przyległych zabudowaniach oraz każdy kawałek ziemi na posesji.

Kiedy wszyscy bracia się rozproszyli po terenie, postanowiliśmy z chłopakami wejść w las. Fletcher trzymał się nas jak pies ogona, ale dobrze było mieć jeszcze jeden, dodatkowy karabin. Ponieważ nadal było ciemno, założyliśmy noktowizory i gdy byliśmy tuż przy linii lasu, w słuchawce odezwał się Cooper.

– K., widzę biegnące przez łąkę od strony dużych bagien dwie osoby. Zbliżają się do nich hammary, ale są jeszcze dość daleko od nich.

– Rozpoznajesz kogoś? – Stałem w miejscu, skupiając uwagę na słowach Coopera.

– Jest za ciemno, ale pierwsza biegnąca osoba to na pewno kobieta, rozpoznaję po sposobie poruszania się. Biegnie bardzo szybko. Zbliży się do niej mężczyzna... czekaj... Cholera, właśnie ją złapał...

kobieta szarpie się... kurwa, ma ją i przystawił jej broń do głowy!

– Kurwa. Masz czysty strzał na niego? – Zacząłem szybciej oddychać. Widziałem, jak Ash staje obok mnie i kręci głową z dezaprobatą. Wiem, co myśli.

Po chwili zawahania Cooper odezwał się do nas:

– Mogę to zrobić, ale zranię kobietę. – Odetchnął głęboko. – Wiesz o tym, prawda K.?

Zerknąłem na Asha, który nerwowo na mnie spoglądał, ale nic nie odpowiedziałem, co oznaczało, że się całkowicie z nimi zgadzam. To, jakie obrażenia spowoduje pocisk w ciele, można obliczyć według prostej formuły, którą każdy seals musi znać, czyli waga pocisku razy jego prędkość do kwadratu. Oznacza to, że dwa razy szybszy pocisk generuje cztery razy więcej szkód i niezwykle istotne jest przede wszystkim zatamowanie krwawienia. Jak najszybsze udzielenie profesjonalnej pomocy ratuje życie.

– Jeśli trafię w jej ramię, kula przejdzie na wylot i trafi mężczyznę w pierś. U niej zrobi niewielkie spustoszenie, ale nie będzie to zagrażać jej życiu tylko, jeśli szybko dostanie pomoc.

O tym właśnie mowa.

Zastanowiłem się chwilę, czy wiem, czego od niego oczekuję.

Czy na pewno chciałem narazić na zranienie lub śmierć niewinną kobietę?

Jak inaczej mam ją ocalić?

A jeśli to Blue?

Dlaczego ciągle muszę podejmować takie decyzje?

Czy ja w ogóle wiem, co ja, kurwa, robię?

Tak, wiem.

A reszta to pierdolone pytania, na które nie znajdę teraz odpowiedzi. Istnieje w życiu loteria, czy jak kto woli, jebany pech lub cholerne szczęście.

Straciłem już tyle czasu. Zbyt wiele.

Ufam Cooperowi całym sobą i jeśli mówi, że kula zrobi niewielkie spustoszenie, to niech działa.

– Zrób to, Cooper. – Zamilkłem na sekundę. – Skoro zbliżają się tam ludzie Ice’a, uprzedzę ich i zajmą się jej raną od razu, zanim dotrze tam Ash.

– Zrozumiałem. Namierzam. – Zamilkł w słuchawce.

Zamknąłem oczy i w swojej głowie dokładnie widziałem, jak patrzy przez lunetę celowniczą i wstrzymuje oddech. Koncentruje się i skupia wzrok na celu. Widzę, jak jego palec delikatnie dotyka spustu, by po chwili energicznie go nacisnąć i poczuć małe szarpnięcie karabinu.

Nastąpiła chwila ciszy i za chwilę Cooper się odezwał ponownie.

– Cel trafiony. Ofiary leżą na polanie. – Słyszeliśmy, jak wypuszcza powietrze z płuc. – Hammery są mniej więcej dwieście jardów od polany. Będą tam za trzy minuty, grunt jest bardzo miękki. Widzę, jak ciężko im jechać.

– Dobra robota. Złaz z tych skał i spotkamy się na polanie. – Gdy Cooper potwierdził, otworzyłem oczy. – Ice? – wywołałem go przez komunikator.

– Jestem, Masters – odezwał się natychmiast.

– Przekaż swoim ludziom, że na polanie jest dwoje ludzi z postrzałem. Trzeba jak najszybciej do nich dotrzeć. Jedna z ofiar musi być uprowadzoną kobietą, mężczyzna to człowiek Russo.

– Zrozumiałem – rzucił i słyszałem, jak jeszcze raz powtarza to swoim ludziom.

– To może być Blue lub Lilly – rzucił Ash.

Spojrzałem na brata i pomimo ciemności rozciągającej się dookoła widziałem determinację na jego twarzy.

– Wszyscy ze swoich pozycji kierujcie się w tamtą stronę, dalej przeczesując las i winnice – zarządziłem i czując budującą się w sercu nadzieję, że znajdziemy Blue, ruszyliśmy w las.

Fletcher wywołał swojego człowieka, aby nadal pozostawał na zewnątrz, sprawdzając ogrodzenie posesji.

– Tutaj nic się nie dzieje, żadnego ruchu – odpowiedział.

– Zupełnie jak martwa strefa – mruknął pod nosem Fletcher.

Miał rację. To miejsce było pozbawione jakichkolwiek odgłosów, które można usłyszeć, będąc w normalnym lesie. Może ze względu na ilość bólu i zła, którym był prześlaskany cały teren. Zaczynałem powoli wierzyć we wszystko.

Zsunęliśmy noktowizory i poruszaliśmy się do przodu, rozglądając się na boki z bronią przygotowaną do strzału. Ku naszemu przerażeniu, w pewnym momencie ludzie zaczęli meldować o zastrzelonych kobietach, które odnajdywali podczas przeczesywania terenu. Dostawałem ataków serca przy każdym zgłoszeniu o znalezionym ciele. A kiedy opis martwych kobiet nie pasował do Blue, chciałem krzyczeć. Nie czułem ulgi, tylko przytłaczający smutek.